# EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 26 Listopada 1933 R. | NR. 48 (61)

Prawdziwy „eksperyment"

Absurdalny przeżytek

Reportaż „Epoki"

Masonerja w Polsce

Pojedynek wielkich

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Film.

AUTORZY: Dąbrowski. Rogowicz. Krahelska. Wasowski. Cękalski. Jarocińska-Malinowska. Chorzelski. Orynżyna. Loos.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

TWARZE NARODOWE

Fizjognomistyka stała się w Niemczech niezwykle popularną umiejętnością. Pisma niemieckie często wymieniają nazwisko „ojca fizjognomistyki" — Lavatera, który z zamiłowaniem studjował twarze przyjaciół. Lavater posiada dziś wielu naśladowców i zwolenników.

Jeden z dzienników berlińskich przeprowadził „studjum porównawcze charakterów czterech narodów", na podstawie czterech... portretów. Dziennik ten zamieścił cztery fotografje. Niemcy reprezentował Bismarck, Anglję — Edward Grey, Francję — Briand, Rosję — Tołstoj.

„Definicja" Brianda była następująca: „Uderzają w jego twarzy — oczy, jasne i przenikliwe, spoglądające z pogardą i poczuciem wyższości. Ta sucha i dociekliwa inteligencja znamionuje umysłowość francuską. Noc wydatny jest oznaką energji. Nic marzycielskiego w oczach. Nie wyrażają żadnych uczuć".

Zaś oczy Bismarcka zdradzają „prawość i otwarty charakter niemiecki, który — niestety — czyni z nas często ofiary cudzych zakusów. Niemiecki jest również marzycielski wyraz twarzy. Bismarck posiadał bowiem w najwyższym stopniu rozwinięty — romantyzm i marzycielstwo duszy niemieckiej..."

REWOLUCJA JAPOŃSKA

Paryskie pismo *L'Oeuvre* ogłosiło artykuł Trockiego o Japonji, z którego przytaczamy fragmenty:

„...Prawie żadne z wielkich państw współczesnych nie ukształtowało się bez rewolucji, lub szeregu rewolucyj. Japonja natomiast nie zna w swojej przeszłości ani reform religijnych, ani „wieku oświecenia", ani rewolucji mieszczańskiej. Nie przeszła też szkoły demokracji. Do pewnej chwili dyktatura militarna zapewniała zdecydowaną jednolitość polityki zewnętrznej i surową dyscyplinę wewnętrzną. Lecz obecnie przeżytki feodalizmu japońskiego stają się największą przeszkodą i hamulcem dla rozwoju kraju.

„Niewolnictwo chłopów nietylko zachowało się w całej jego rozciągłości, lecz pogłębiło się pod naporem nowych ciężarów i podatków. Chłopi oddają rocznie posiadaczom ziemskim trzy czwarte miljarda yen. Te niewolnicze zwyczaje przenikają z rolnictwa do przemysłu: 11 lub 12-godzinny dzień pracy, koszary robotnicze, głodowe płace, całkowicie dyktowane przez przedsiębiorcę. Mimo floty morskiej i samolotów, stosunki japońskie naznaczone są piętnem średniowiecza. Do dziś zachowała się w Japonji kasta parjasów.

„Siłą okoliczności dziejowych, burżuazja japońska rozpoczęła agresywną politykę zagraniczną, nie rozciąwszy uprzednio węzła średniowiecznego niewolnictwa. Tu tkwi zasadnicze niebezpieczeństwo: militaryzm japoński został wzniesiony na wulkanie socjalnym.

„W obaleniu caratu (doradcy mikada powinni sumiennie przestudjować to wydarzenie), odegrały olbrzymią rolę narodowości uciskane, które stanowiły 53% ludności dawnej Rosji. Siła Japonji znacznie wzrosłaby, gdyby jej gospodarka i armja nie były ściśle zależne od Korei, Formozy i Mandżurji. Na 65 miljonów Japończyków przypada 50 miljonów uciemiężonych Chińczyków i Koreańczyków. Ta potężna armja rezerwowa przewrotu będzie szczególnie niebezpieczna dla regime'u w razie wojny.

„Strajki chłopskie, terror rolny, dążenia chłopa do zjednoczenia z robotnikiem — są zwiastunami idącej zmiany.

...„Oficerowie zawodowi, potomkowie lub naśladowcy samurajów, szukają pod pokrywką demagogicznych słów zbliżenia do buntującego się chłopa. Lecz zbliżenie to jest złudne. Samurajowie chcą wrócić do przeszłości, patrzą wstecz. Chłopi dążą naprzód — do przewrotu agrarnego!"

LUDZIE JASKINIOWI

Ludzie jaskiniowi w Pradze czeskiej? W wielkiem mieście europejskiem, liczącem tysiące wspaniałych budowli? Piętnaście minut jazdy tramwajowej dzieli siedlisko nowoczesnych troglodytów, żyjących w jaskiniach na wzór prehistorycznych przodków, od Wenzelplatz, jednego z największych placów światowych stolic, który ruchliwością dorównywa bulwarom paryskim. Niewielka tylko odległość dzieli podmiejską, bogatą, dzielnicę willową od terenu dołów, wykopanych w piaszczystej ziemi. Z większości tych dołów dobywa się dym — znak życia ludzkiego. Współpracownik wiedeńskiego pisma *Neues Wiener Journal*, opisuje swoją wizytę w tej dzielnicy troglodytów:

„Zbliżam się do jednej z tych zapadlin, potknąwszy się uprzednio kilkakrotnie o kamieniste zwały. Przed wejściem stoi młody człowiek w łachmanach. Częstuję go papierosem. Chciwie zapala. Proszę go o informacje. Wprowadza mię do „podziemia", w którem mieszka wraz z dwoma bezrobotnymi towarzyszami. Urządzenie podziemnego mieszkania składa się z drewnianej pryczy, jako posłania, miednicy i budzika, z którego gospodarz zdaje się być szczególnie dumny.

„A inni?" — pytam.

„Moi sąsiedzi? — odpowiada młody bezrobotny — nie warci pańskiej uwagi. To — żebracy, wykolejeńcy życiowi, trawieni chorobą, zawszeni... Pijacy, których ja i moi przyjaciele wystrzegamy się. Nie lubią nas, gdyż chcemy pracować".

„I wskazując na ściany jaskini, pokryte sadzą, dodaje: „To łotrzyki — korzystając z naszej nieobecności, podpalili słomę, na której śpimy. Chcą nas wykurzyć!"

„U wejścia do jaskini rozciąga się piękny widok na ogrody i wille podmiejskie. Listowie drzew, żółte i rdzawe, pejzaż jesienny, melancholiczny i smutny nie zdoła odwieść mych myśli od tragicznego obrazu osady troglodytów, którą opuściłem..."

WALKA Z CELIBATEM

Mussolini nakazał wszystkim bezżennym, którzy sprawują funkcje w partji faszystowskiej, oraz kandydatom do przyszłych wyborów — jaknajszybsze małżeństwo, które uznał za niezbędny warunek zachowania posad i możności kandydowania.

Funkcjonarjusze partyjni, którzy nie spełnią tego nakazu, winni niezwłocznie podać się do dymisji.

DROGA ANDRÉ GIDE'A

Moskiewska *Literaturnaja Gazeta* ogłosiła artykuł Ilji Erenburga o „Drodze André Gide'a":

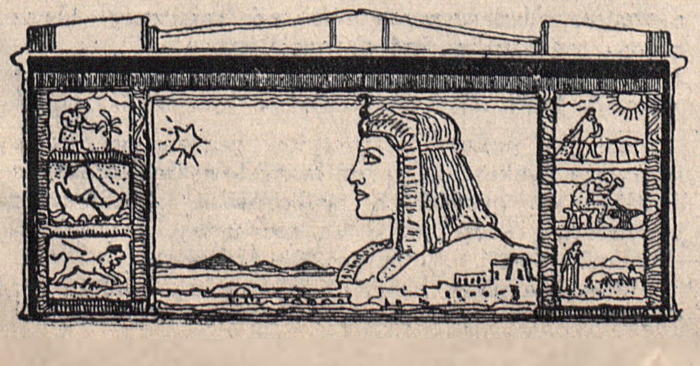
...„Budda powiedział, że wszyscy przyjdą do niego: jedni drogą poświęcenia, drudzy — drogą heroizmu, a inni znów — zmęczeni życiem. Drogi, któremi zbliżają się najwybitniejsi przedstawiciele intelektualnych środowisk Europy do świata pracy —są różne. Jednych pcha poczucie sprawiedliwości, innymi kieruje pragnienie położenia kresu anarchji i chaosowi. Jednych pociąga perspektywa walki, inni zbliżają się do proletarjatu z nienawiści do świata kapitału. Są też fataliści: wiedzą, do kogo należy przyszłość. Można dalej wyliczać drogi zbliżenia. Ilu ludzi — tyle szlaków...

„Są w Z. S. R. R. archeologowie i muzeologowie, którzy radośnie powitali władzę świata pracy. Widzą w robotnikach najbardziej dziś bezinteresownych strażników twórczych wartości ludzkich. André Gide nie żyje przeszłością, lecz czytając jego rewolucyjne oświadczenia, myślę mimowoli o tych egiptologach Moskwy i bizantynistach Leningradu. Chodzi nietylko o ocalenie bibljotek i muzeów. André Gide zrozumiał, że najwyższe dobro ludzkości — rozwój jednostki — zdegenerowało się w społeczeństwie kapitalistycznem. Gruntownie przestudjował wszelkie zniekształcenia i zwyrodnienia indywidualizmu, podporządkowanego nakazom religji i życia rodzinnego. Zobaczył ludzi, którzy bronią indywidualizmu, negując zarazem indywidualizm burżuazyjny.

....„Znam „romantyków", którzy lubili zapach prochu rewolucyjnego. W 1920 — gotowi byli umrzeć za nową Rosję. Dziś spełniają w kawiarniach paryskich nową rolę — rozczarowanych sceptyków. Gdy André Gide i rewolucja się spotkali, nikt z nich — ani pisarz, ani rewolucja — nie był już dzieckiem. Wrogowie Z. S. R. R. mówili o nowem średniowieczu, o zniszczeniu jednostki. André Gide zrozumiał jednak prawdę, że „wolny rozwój każdego z ludzi będzie niezbędnym warunkiem wolnego rozwoju wszystkich".

...„Gide napisał w r. 1923, że kwestje polityczne wydają mu się mniej ważne, niż zagadnienia socjalne, te zaś mniej ważne, niż sprawy moralne. Trzeba — mówił — zmienić nie ustrój, lecz człowieka. Siedem lat później oświadczył, że wszystkie jego nadzieje oparte są na eksperymencie sowieckim, który zmienia człowieka poprzez zmianę ustroju.

...„Nie będziemy pisali o odwadze André Gide'a — całe jego poprzednie życie czyni tę pochwałę zbędną. Paul Claudel wstąpił do kościoła, Paul Valéry do Akademji, a André Gide — w życie. Dla żywego człowieka nie stanowi to poświęcenia, ani heroizmu. Jestto zwykły akt samozachowawczy".



ABSURDALNY PRZEŻYTEK

Nie mogę stwierdzić, czy jeszcze panuje ten zwyczaj między chłopcami z małych miasteczek, który pamiętam z moich lat dziecinnych: aby przy spotkaniu z chłopcem żydowskim pokazywać mu ściśnięty w garści róg kapoty i potrząsając nim wołać: „Patrz, patrz, świńskie ucho!"

Ta aluzja do nieszkodzącego nikomu i higjenicznego przepisu religijnego, zakazującego jadania wieprzowiny, miała jakoby niesłychanie irytować żydowskich chłopców — i to miało być niesłychanie zabawne. Jeżeli ten złośliwy żart już się przestarzał i znikł, to jego regeneracja nastąpiła w akcji „Gazety Warszawskiej", która swą propagandę antysemityzmu w bardzo podobny uprawia sposób. Publikuje listy osób pochodzenia żydowskiego w różnych zawodach i — wywołuje skutek.

Krzewienie antysemityzmu wśród kół inteligencji jest oparte na milczącej umowie o śmieszności żydostwa, podobnie jak między chłopcem, pokazującym „świńskie mleko", a odbiorcą tego żartu. „Gazeta Warszawska", uważa, iż niesłychanie ośmieszyła jakiegoś doktora, czy dentystę Rosenbauma, stwierdziwszy czarno na białem w druku, że nie jest to żaden poważny doktór, tylko „ten żyd Rosenbaum". Co najdziwniejsze, że tysiące tych opublikowanych Rosenbaumów czuje się z tego powodu nieszczęśliwymi.

Wieki się złożyły na to, aby Żydzi doznawać poczęli uczucia „garbu żydostwa". Arendarz na rozkaz szlachcica, tańczący z rozwianemi połami chałata, przy wybuchach śmiechu widzów, jest prototypem tej śmieszności. Mocne cięgi od życia wzięli ci, którzy arendarzowi ku swej zabawie mogli kazać tańczyć. Dawno się skończył ten „żydek z pejsami", który mógł być przedmiotem śmiechu. Ale „garb żydostwa" pozostał w psychice Żydów, istnieje w swej szczątkowej formie: w pewnem przyzwoleniu na to, by żydostwo było traktowane, jako śmieszność, w powtarzaniu tego w wewnętrznym użytku, przy jednoczesnej wrażliwości na tenże żart, idący zzewnątrz. W tem, że Żydzi, jako naród, są niedostępni dla wszelkiej krytyki właściwości ich psychiki narodowej, a obok tego nadmiernie dumni z swej przynależności szczepowej.

Nie naszą jest rzeczą im to wytykać, albowiem sprawcami tego „garbu żydowstwa" są nasi ojcowie. Naszą rzeczą jest umieć się wyzwolić z przeżytków tego, co nie było racjonalnem w przeszłości, a dziś — byłoby zapoznawaniem głębokich przemian, jakie zaszły od czasów panowania niepodzielnego ghetta w życiu żydowskiem. Obie strony winny się wyzwalać z pod sugestji „świńskiego ucha".

Anglik, któryby począł rozglądać się w stosunkach panujących w Polsce, nie potrafiłby w żaden sposób zrozumieć, na czem polega właściwość stosunku do Żydów. Nie umiałby zapewne odpowiedzieć sobie, czemu chłop, przybyły na targ w Radziwiłłowie, bije Żydów — odbiorców jego produktów, conajwyżej mogłaby istnieć zawiść konkurencyjna między sklepikarzami obu wyznań. Nie będzie też mógł zrozumieć, na czem polega śmieszność. Czemu śmiesznym jest znajomy, który w Sądny Dzień udaje się do synagogi lub zachowuje ścisły

post, a nie jest nim kto inny, udający się do kościoła swego wyznania? Czemu śmiesznem jest znaleźć się na ślubie w synagodze, a nie jest niem — być w kościele kalwińskim? Nie mógłby pojąć, że komizm postaci Eierweissa i Żółtka w „Cyruliku" nie jest śmiesznością episjera, drobnomieszczanina, lecz specyficzną śmiesznością, bliżej nie zrozumie tak, jak my nie rozumiemy Amerykanów, mających odrazę do osobników, których zabarwienie paznogci świadczy o przymieszce krwi murzyńskiej. A już zupełnie nie potrafiłby wyrozumieć nic z powodzenia „szmoncesów", na które sarka antysemita, a oklaskuje Żyd.

Taki obcy przybysz z łatwością zdołałby uczynić spostrzeżenie, że w kołach polskiej klasy średniej antysemityzm jest miarą inteligencji. Poszedłby wkrótce o zakład — bo Anglicy lubią zakłady — że osobnik o pomniejszonej inteligencji napewno oświadczy, iż na wszystko gotów przystać, ale jest bezwzględnym antysemitą i pod tym względem godzi się z Hitlerem, a inteligentniejszy endek będzie się strasznie gęsto tłumaczył ze swego programowego antysemityzmu.

Doszedłby wreszcie do przekonania, że antysemityzm jest zjawiskiem przeżytkowem, które straciło swe właściwe podłoże i zostało zagnane w głąb instynktów, w gąszcz półświadomych odruchów. Przeczytawszy od deski do deski wszystkie artykuły w kwestji żydowskiej „Gazety Warszawskiej", dostrzegłby zarówno jej izolację, jak i bezprzedmiotowość wywodów, które sam praojciec Dmowski musi wspierać rewelacjami o masonach, jako narzędziach w ręku międzynarodowego żydostwa.

Po tych ustaleniach musiałby ów cudzoziemiec przejść z kolei do obserwowania innego, mniej dlań zrozumiałego zjawiska: antysemityzmu żydowskiego.

— Czemu ten człowiek — zapytałby — czuje się tak nieszczęśliwym, że wskazano na jego pochodzenie żydowskie? Czy nie jest to prawdą?

Tak, jest to prawda, ale z tego rodzaju prawd, jakgdyby opublikowano, że dziadek siedział w kryminale. To zupełna prawda, ale jakże można wypominać komuś podobną plamę!

To jest pytanie, z którem i ja muszę się zwrócić, bo go nie rozumiem. Społeczeństwo polskie w różnych czasach asymilowało różne elementy. Był okres asymilowania szlachty ruskiej i litewskiej. Nastąpił po nim czas silnej przewagi elementu, jak dziś nazwalibyśmy, klasowego w kulturze polskiej. Nazwiska ludzi z dzisiejszych i wczorajszych kresów zdobią naszą historję z końca XVIII i początków XIX stulecia. W połowie zeszłego wieku, w wyniku asymilacji mieszczaństwa niemieckiego, wchodzi do dziejów kultury liczny poczet nazwisk niemieckich. W drugiej połowie stulecia asymilacja wykształconych Żydów, porzucających ghetto, wprowadza do kultury szereg nazwisk żydowskich, z których wiele jest zasłużonych, aż do popierania początków endecji włącznie. Co w tem może być upokarzającego lub śmiesznego? Czyż to chodziło o wchodzenie w koła arystokracji rodowej? Czy nie jest rzeczą tych właśnie ludzi, którzy nie mają żadnej potrzeby wstydzić się pobudek, dla których przybrali kulturę polską — postawić rzecz na właściwej płaszczyźnie? „Jestem Żydem z pochodzenia" — wypowiedziane spokojnie i z podniesionem czołem, jako skonstatowanie rzeczy zupełnie naturalnej, to jest zupełnie co innego, niż przyznanie, „pochodzę z Żydów, ale musicie to zapomnieć!" — wypowiadane z zawstydzeniem, zażenowaniem, nieuzasadnioną nerwowością.

Nie ograniczam tej mało zrozumiałej dla mnie komedji do ludzi pokolenia przedwojennego przeważnie, traktujących swą asymilację par coeur, jako przystąpienie do narodu gnębionego, związanie się z nim sercem i duchem. Dziś, gdy Polska jest państwem, posiada ona w swem łonie miljony obywateli-Żydów, używających języka polskiego w słowie i piśmie, spełniających swe normalne obowiązki obywatelskie i nie mających obowiązku idealnego zespolania się z polskością. Są „mniejszością narodową", w tym charakterze dążą do zupełnego równouprawnienia obywatelskiego, nie odczuwają żadnego zażenowania, występując, jako np. przedstawiciele kupców-Żydów, reprezentanci gmin żydowskich etc. Czemuż, jako jednostki aprobują pewien odcień poniżenia, wynikający z ich żydowskiego pochodzenia?

Jesteśmy obecnie w fazie antysemityzmu inteligenckiego. Na czem polega jego istota, będzie mowa innym razem. W tym ograniczonym zakresie — przesąd śmieszności żydostwa gra bardzo poważną rolę. Powinien być zwalczany — z obu stron. Jest czemś tak samo niewytłumaczalnem, jak dla europejczyka — przesąd wstrętu do mulatów.

Niepodobna w dzisiejszych czasach wyobrazić sobie możliwości traktowania różnic kulturalnych z punktu widzenia śmieszności. Dawny szlachetka mógł mieć odczucie śmieszności dla „Szwaba" z fajką i pudlem, uważać, że Anglicy nie jest to żadna „godna nacja", a Francuzi — to lekkoduchy w pudrowanych peruczkach. Proszę sobie wyobrazić dziś takiego naszego pradziada, któryby z temi pojęciami chadzał po świecie! Ten pradziadek z horyzontem Koziej Wólki pokutuje w nas do dzisiaj, jako przeżytek w stosunku do Żydów. Pokutuje on w naszych mózgownicach, w postaci dwóch, cudem ze sobą pogodzonych, sprzeczności. Z jednej strony — „żydek", coś niższego, mającego budzić niższością swą poczucie śmieszności; z drugiej — „niebezpieczeństwo żydowskie". Są to pozostałości dwóch odrębnych epok. Zanim zaczniemy mówić i myśleć o „niebezpieczeństwie żydowskiem", uprzątnijmy z mózgów, z instynktów — ten przeżytek „śmieszności". Jak bowiem wyglądałyby nasze, naprzykład, rozważania o stosunku do Niemiec, gdyby równocześnie ten „Szwab z pudlem" tkwił w naszych głowach?

Nawet przy istnieniu realnych antagonizmów, dwie formacje szczepowe muszą, mieszkając razem, stwarzać warunki zgodnego współistnienia. Zwłaszcza, gdy na naszych oczach pojęcia czystego „rasizmu" kompromitują się — no, nie mówimy, że powszechnie — ale w oczach ludzi, przeciętnie kulturalnych. Kilku publicystów i satyryków możemy zwolnić od zaliczania ich przymusowo do tego poziomu. I pozostawić poza nawiasem naszych rozważań. Nie może istnieć normalny stosunek spółżycia tam, gdzie uprzemy się to, co jest odmienne, nazywać śmiesznem, czy poniżającem.

Nie dałby się, w warunkach spółczesnych, utrzymać naprzykład stosunek mężczyzny, i kobiety, oparty na poczuciu bezwzględnej wyższości mężczyzny, dlatego tylko, że jest mężczyzną, i niższości kobiety, pojętej w ten sposób, iżby wszystko co kobiece miało być śmiesznem i poniżającem, gdy chce wchodzić

w sferę zainteresowań powszechnych. Gdyby tak rubaszny brutal chciał twierdzić, że jest normalnym przedstawicielem intelektu, zaś kobieta — jest śmieszną, wchodząc w sferę zainteresowań intelektualnych! Nasz pradziadzio przy wódce i bigosie w ten sposób wszak traktował prababkę. Z jakąż pogardą był przyjmowany typ „sawantki"! Nie może nam w głowie powstać, że mógłby istnieć podobny stosunek. Mimo, że odmienność psychiki mężczyzny i kobiety pozostaje niesporną, a kwestja wyższości lub równorzędności tej psychiki — wciąż jeszcze jest otwartą.

Czy nie wydaje się nam jednak, że gdyby ten pogląd pradziadka pokutował w nas jeszcze, byłby on najważniejszą przeszkodą do spółżycia i porozumienia? We wzajemnem ustosunkowaniu dwóch zbiorowisk ludzkich — poniżenie i śmieszność niemniejszą stanowią przeszkodę. Wyprowadzić na jaw ten ukryty przejaw instynktu i uświadomić sobie, że jest on absurdalnym przeżytkiem — to znaczy uczynić może bardzo wiele dla uzdrowienia stosunków.

Wciąż się bowiem mówi językiem argumentów, który pozornie powinien być zrozumiały, lecz istnieje ukryty podkład nerwowości, który plącze słowa i miesza argumenty. Stwarza bezładną i pomieszaną gwarę, w której odpowiedzi nie padają na zarzuty, zaś zarzuty — nie odpowiadają faktycznemu stanowi rzeczy. Jak zawsze, gdy istnieje nieuświadomione podłoże afektywne.

Jan Dąbrowski

PRAWDZIWY „EKSPERYMENT"*)

Nie jestem ani politykiem, ani ekonomistą, i zapewne dlatego, jako człowiek niekompetentny, powiem zaraz głupstwo: tego, co się dziś dzieje w Rosji nie uważam już za „eksperyment komunistyczny". Po fazie karykatury ustrojowej, nieuniknionem następstwie każdej, a więc i bolszewickiej rewolucji, Z. S. R. R. wszedł obecnie w stadjum budowy państwa socjalistycznego, a doktryna komunistyczna, tępa i ślepa jak każda doktryna, przy zetknięciu się z życiem zwolna przeobraża się w bardzo rozległe możliwości rozwoju organicznego. Komunizm rosyjski wkracza na drogę ewolucji, która po wielu jeszcze próbach ortodoksyjnej nieustępliwości, ale liczniejszych jeszcze rozumnych modyfikacjach i koncesjach, doprowadzi kiedyś do tego, że b. imperjum carskie stanie się w dziejach pierwszem chronologicznie państwem demokratycznem (używam tu tego znienawidzonego w Sowietach słowa, pamiętając, że demos znaczy lud, a nie burżuazja, jak myśmy, na Zachodzie, obłudnie i wąsko od czasów rewolucji francuskiej pojęcie demokracji interpretowali).

Nie było dotychczas i niema na Zachodzie ani jednego państwa naprawdę demokratycznego.

Zanim się okaże, czy stworzenie go w Rosji się uda, czy też zniszczenie kapitalizmu prywatnego, na którym stoją, zresztą, na bardzo niepewnych już nogach, i pseudodemokracje i faszyzmy Zachodu, będzie na jednej piątej globu tylko nieudanym eksperymentem, należy, mojem zdaniem, zwrócić dzisiaj uwagę i na inny eksperyment, bliżej nas — bo bezpośrednio — obchodzący, rozgrywający się w tej chwili w dziejach t. zw. cywilizacji chrześcijańskiej.

Eksperymentem tym jest chęć utrzymania za wszelką cenę przy życiu zdychającego starego rozpustnika — kapitalizmu prywatnego, który ma na swem sumieniu więcej zbrodni, niż wszystkie rewolucje świata razem, codziennych i bezkarnych, więc uporczywych i cynicznych.

Ten eksperyment wydaje mi się groźniejszy dla przyszłości świata, niż tamten, sowiecki. Odbywa się on w smrodzie nędzy dziesiątków miljonów bezrobotnych, nędzy przedewszystkiem moralnej, i kto tego smrodu nie czuje, ten... nie ma nosa na właściwem miejscu.

A to jest kalectwo dziś fatalne.

Mówi się często i słusznie, że Rosja jest krajem nieograniczonych możliwości.

Jeżeli mocarstwa Europy w najbliższym czasie nie nałożą kaftana bezpieczeństwa szalejącemu w jej centrum warjatowi, musi dojść do tego, że napastnik i napadnięci będą się wzajemnie wytruwali, tępili u siebie i ludzkie i wszelkie życie organiczne, niszczyli całą swoją cywilizację — i wtedy na „barbarzyńskim" wschodzie Europy 160 miljonów ludzi będzie pod osłoną swej armji i paktów o nieagresji żyło, pracowało i budowało — ku hańbie zadufanego w swej mądrości Zachodu.

Ta wizja mnie prześladuje.

I dlatego uważam zbliżenie polsko-rosyjskie za nader pożądane i każdą jaskółkę tego zbliżenia, jako Polak i Europejczyk, witam z radością.

Mam tu na myśli zbliżenie polityczno-gospodarcze, bo w dziedzinie intelektualno-artystycznej, a w szczególności w zakresie literatury, uważam je dzisiaj za fikcję, co zwalnia mnie od sądu, czy to zbliżenie byłoby pożądane dla nas, czy nie. O fikcjach sądu się nie wydaje. Należy tylko wyjaśnić, dlaczego się coś uważa za fikcję.

Nie miałem sposobności poznać literatury sowieckiej tak blisko, jak przedrewolucyjnej literatury rosyjskiej. Ale z tego com poznał nie mogłem wyprowadzić we wrażeniach wyraźnej linji demarkacyjnej między wielką literaturą Rosji carskiej, a jej dalszym ciągiem od r. 1917. Dla ścisłości zaznaczam, że jako wychowaniec szkół rosyjskich i człowiek interesujący się literaturą od dziecka, poznałem literaturę rosyjską dobrze i w oryginale, a bywałem też w Rosji od 14-go roku, aż do czasu wojny światowej — na Krymie, na Ukrainie i... w Kostromie w r. 1913. Miałem też Rosjan-przyjaciół. Zaznaczam te prywatne szczegóły dlatego, że mojem zdaniem, trudno jest wydawać sąd o obcej literaturze, jeżeli się bliżej nie obcowało z przedstawicielami narodu, który ją wydał, i nie zna się jego ziemi.

Czytając Pilniaka, Romanowa, Zamiatina (Erenburg jest dla mnie pisarzem kosmopolitycznym), starałem się czytać przenikliwie, t. zn. nietylko tekst ale i to co jest między wierszami — pamiętając, że to jest wydane w Sowietach. I odnosiłem zawsze wrażenie dominujące: to pisze autor rosyjski, to jest literatura rosyjska, choć nowe tematy, nowa rzeczywistość, nieraz nowe aspekty psychiki przedstawianych postaci. Ale wszystko to raczej nowa dekoracja, nowa reżyserja, w której żyją i walczą

*) Wśród odpowiedzi na ankietę „Wiadomości Literackich" o literaturze sowieckiej, eksperymencie komunistycznym i zbliżeniu polsko-rosyjskiem, na szczególną uwagę zasługuje artykuł Wacława Rogowicza. Z upoważnienia autora zamieszczamy przedruk tego artykułu.

rdzenne składniki duszy rosyjskiej. Uderzyło mnie to zwłaszcza przy czytaniu wspaniałej powieści Pilniaka „Wołga wpada do morza Kaspijskiego" (w doskonałym przekładzie Broniewskiego). I myślałem o wielkich prozaikach Rosji, Dostojewskim, Tołstoju, Gorkim, Czechowie, Andrejewie. Wbrew zewnętrznym pozorom, linja ciągłości duchowej nie została zerwana. Ten sam poważny stosunek do życia, to samo skupienie wzroku (co za policzek dla idjotycznej koncepcji „człowieka zbiorowego"!) na człowieku jako indywiduum, te same objawy niemożności wyżycia się bohaterów, ratującej się staro-rosyjskim nałogiem dyskutowania przy każdej okazji — a co najważniejsze, owa nieśmiertelna dominanta powieści rosyjskiej: zagadnienie sumienia, po której pisarza-Rosjanina możnaby poznać, choćby pisał po turecku!

Poza rosyjską znam tylko dwie literatury, a w każdej po jednym wielkim przedstawicielu, którego nurtowało zagadnienie sumienia. W polskiej — Żeromski, w angielskiej... Conrad, u którego zresztą sumienie przetransponowane zostało, drogą zazębienia się psychiki polskiej z anglosaską, w honor („Lord Jim").

Prawda, na ostatnich stronicach „Kłębowiska żmij" Mauriaca bohater zaczyna nagle zmagać się z inkwizytorem-sumieniem. Ale... rzecz ciekawa: Mauriac jest właśnie tym współczesnym pisarzem francuskim, na którego (obok Cendrarsa i Céline'a, choć na tych w inny sposób) wywarł wpływ... Dostojewskij.

Wchodzi on dziś do literatury francuskiej przez te świetne pióra tryumfalnie.

Gdy nurt najgłębszych zagadnień życia wejdzie do polskiej, uwolnionej dziś od stuletniego serwitutu fobij patrjotycznych — wtedy stworzy się platforma istotnej, nietylko oficjalnej wymiany wartości duchowo-literackich obydwóch sąsiadujących ze sobą, wolnych i szanujących się wzajemnie narodów".

Wacław Rogowicz

CELE I ZADANIA WIĘZIENIA

II.

Tak więc więzienie, w mojem przekonaniu, nie może być instytucją poprawczo-wychowawczą. Zakreślam mu skromniejsze zadanie: izolować od społeczeństwa ludzi, których postępki narażają to społeczeństwo na jakibądź szwank. Sądzę, że gdybyśmy się zrzekli (w Polsce równie jak w innych państwach) tych wszelkich innych, nierealnych, celów i zadań więzienia, gdybyśmy ustalili, że chodzi jedynie i wyłącznie o izolację, — przyszlibyśmy łatwo do uporządkowania spraw więziennych: rozładowania więzień z nadmiaru lokatorów, których izolacja nie jest potrzebna społeczeństwu i zaprowadzenia w więzieniach stosunków, odpowiadających celom i zadaniom więzienia.

Gdy skierujemy na każde więzienie (bez żadnej różnicy państwa i narodowości) reflektor celowości izolacji, nie trudno będzie dojrzeć, że dla bardzo dużego odsetka uwięzionych nie jest to właściwe miejsce pobytu.

Występuje tu bowiem odrazu kwestja zdrowia fizycznego, psycho-fizycznego i wręcz umysłowego, kwestja t. zw. „normalności" więźniów. Więziennictwo amerykańskie, nowożytne, stosunkowo do innych młode, posiada pod tym względem wiele ciekawych eksperymentów. P. Makarewicz, w podróży swej po Stanach Zjednoczonych, interesował się żywo sprawami więziennictwa i w książce jego znajdujemy bardzo dużo przyczynków do tych spraw. Znamiennem jest, że naczelnikami (dyrektorami) więzień mianuje się tam chętnie — lekarzy, śród dyrektorów i śród zakładowych lekarzy-psychjatrów w innych więzieniach jest dużo osób, nieustających w badaniach nad stanem psycho-fizycznym więźnia. Jakież są wyniki tych badań? Dotyczyły one wypadku uwięzionych w zakładzie Sing-Sing w stanie New York. „W ostatnim roku przeprowadzał (psychjatra zakładowy dr. A. T. Backer) badania nad ośmiuset więźniami. Okazało się, że trzydziestu z nich było wręcz obłąkanych, przeszło stu patologicznie anormalnych, reszta przedstawiała przeciętną inteligencję w stopniu dziecka czternastoletniego. Niezmiernie ciekawe były wyniki co do rozwoju umysłowego przy poszczególnych przestępstwach; w grupie napadu (assault) 77 badanych okazywało umysłowość dziecka w wieku 11 lat, przy przestępstwach płciowych, (rape and sodomy) 20 badanych miało umysłowość, odpowiadającą wiekowi 12 lat i 3 miesięcy i t. d. Oto jest świat przestępców: niedorozwój psychiczny, niedorozwój intelektu i woli". (p. Juljusz Makarewicz, „U. S. A." str. 170).

Człowiek jest w świecie cywilizowanym taką quantité négligeable, że tego rodzaju badania (zdawałoby się, wręcz obowiązujące!) robią na nas wrażenie sensacji. Ktoby się tam w więzieniach przejmował stanem psychicznym więźnia! Pamiętam w odeskiem więzieniu warjatkę, która spaliła się w zamkniętej celi, wylewając na siebie naftę z lampy; pamiętam w Tule, w „pieriesyłce" inną, która krzyczała na głos po całych dobach i którą biciem zmuszano do chwilowej przerwy w tym okropnym, z obłędnego strachu wynikającym wrzasku. Były to więzienia carskiej Rosji. Sądzę, że jest jeszcze dużo podobnych.

Czy nie jest jasnem dla każdego myślącego człowieka, że ludzie niezdrowi i nienormalni psychicznie, patologicznie anormalni, ludzie dorośli o rozwoju umysłowym nieletnich dzieci, — nie powinni skupiać się w więzieniach, tylko miejsce ich — w zakładach leczniczych, reformujących lub wychowawczych?

Wydział Oświaty Pozaszkolnej Magistratu m. st. Warszawy przeprowadził wiosną roku bieżącego pewną ankietę w szkołach dla młodocianych i dorosłych w tej liczbie i w szkołach więziennych; ankietę na temat specjalny: czem byli w życiu twem ojciec i matka? Odpowiedzi ze szkół więziennych dały materjał, poza właściwym tematem, do innych jeszcze zagadnień społecznych: przedewszystkiem wysunęły rozpatrywaną tu kwestję celowości więzienia w rozmaitych wypadkach. Śród tych odpowiedzi wyróżnia się jedna. Chłopak 23 lat, bez pracy,dał się namówić kolegom na bandytyzm, dostał 15 lat więzienia, z których odsiedział już 13. W niewyszukanym opisie człowiek ten, dziś już 36-letni, otwiera przed nami całą swą dobrą, poprostu subtelną duszę; wykazuje zdumiewającej siły i delikatności uczucie do rodziców, mnóstwo pięknych ludzkich cech. Kiedy popełnił przestępstwo, był analfabetą; w służbie i poniewierce znajdował się od 7-go roku

życia, gdyż tak wcześnie już niemajętni rodzice oddali go do obcego gospodarza; robotnikiem kopalni został w 12-tym roku życia, potem — wojna... Zdumienie ogarnia, że tego człowieka, którego żywa, dobra dusza wyziera z prostych słów, — omija wciąż przywilej przedterminowego zwolnienia. Ileż takich ludzi niepożytecznie dla siebie i zbiorowości pozostaje w więziennej izolacji od społeczeństwa!

Już w artykule moim o więźniach politycznych podnosłam konieczność rozładowania naszych więzień z licznych zastępów ludzi, przeważnie młodzieży o światopoglądzie rewolucyjnym, których wrogiem jest ustrój kapitalistyczny, nie zaś państwowość i niepodległość Polski. Tu, pod innym kątem widzenia przychodzę do tego samego wyniku: w więzieniu przebywa dużo ludzi niepotrzebnie. Miejsce ich jest gdzieindziej, póki się nie staną zdolni do swobodnego obcowania w zbiorowości.

Przyznam, że w dalekiej przyszłości, poza granicami życia współczesnych, nie widzę wogóle potrzeby więzień. W innym ustroju i układzie stosunków ludzkich, kiedy każdy człowiek będzie mógł egzystować z pracy, czyli poza pracą nie będzie innych sposobów i środków egzystencji, — kiedy dzieci od urodzenia będą wychowywane do współżycia w gromadzie ludzkiej, do stawiania interesów zbiorowości ponad interes jednostki, — znikną powody i przyczyny konfliktów jednostki ze zbiorowością.

Dla jakichś pojedyńczych typów o zboczeniach psychicznych, czy psycho-fizycznych, utrudniających im normalne współżycie z ludźmi, nie opłaci się budować i utrzymywać więzień.

Jest rzeczą oczywistą, że skoro idzie o izolację tylko, trzeba wykluczyć cały system posunięć, nastawień psychicznych i procederów, zmierzających ku zatruwaniu więźniom życia. Samo pozbawienie swobody jest już, jak to podnosiliśmy, dość przykre i tej przykrości więzień uniknąć nie może.

We wszystkich niemal przepisach prawa, regulujących stosunki w więziennictwie, podkreśla się tę samą zasadę: że nie należy zatruwać życia więźniowi z tej racji, iż został więźniem. Czytamy przecie, że „dozorca powinien starać się wyrozumieć indywidualne własności więźnia, a więc starać się poznać nietylko imiona i nazwiska każdego z nich, ale też i wszystkie ich zamiary, skłonności i przyzwyczajenia", a dalej, że „nie wolno przypominać więźniowi jego występnej przeszłości", „niedopuszczalnem jest odnoszenie się do więźniów w sposób obelżywy lub uwłaczający, a zwłaszcza bicie ich" i t. d. (p. „Zasadnicze wiadomości z zakresu praktycznego więziennictwa", str. 10). Nawet w regulaminie więziennym z r. 1931, o którym już pisałam poprzednio, znajdujemy w art. 10, iż „postępowanie (funkcjonarjusza więziennego) ma być stanowcze, spokojne, bezstronne, a w *szczególności nie uwłaczające godności więźnia*" (podkreślenie moje).

Jeżeli odwołałam się tu do brzmienia przepisów, to poto, ażeby uwypuklić, iż teoretycznie nic owego „zatruwania więźniowi życia" nie uzasadnia i nie usprawiedliwia. Staje się tedy jasnem, że wszystko tu zależy, jak zresztą w każdej z dziedzin życia, od *wykonawców: od personelu więziennego.* Jeżeli więzienie będzie miało spełniać jedyne, dostępne mu, zadanie izolacji więźniów od społeczeństwa, to kwestja personelu wysunie się na pierwszy plan.

Halina Krahelska

ODGŁOSY

SŁUSZNA ODPOWIEDŹ

P. Jan Nepomucen Miller napisał w *Robotniku* (nr. z dn. 1 b. m.), że powstały niedawno tygodnik *Pion* „jest szkołą serwilizmu i rezygnacji z siebie dla pisarzy, cieszących się dotąd zaszczytną opinją niezależnych, jest narzędziem nie odrodzenia, lecz deprawacji moralnej literatury, której przykładną ilustracją jest świeżo ufundowana Akademja".

Zarzut serwilizmu jest bardzo ciężki, jeden z najcięższych, jaki można postawić pisarzowi. P. Miller nie przytoczył dowodów na to, że współpracownicy *Pionu* są służalcami, wynajętymi za pieniądze rządu. Atak p. Millera jest nieodpowiedzialny i obrzydliwy. Trzeba raz skończyć z tego rodzaju inwektywami, które staczają nasze polemiki na poziom wręcz potworny. To, że *Pion* jest wydawany przy poparciu materjalnem rządu, nie świadczy bynajmniej, że piszący tam deprawują się serwilizmem. Byłoby tak, gdyby to, co tam piszą, było wysługiwaniem się rządowi. A tak nie jest.

W imię prawdy i w imię walki z niskim poziomem dyskusyj publicznych wyrażamy tu pełną solidarność z odpowiedzią współredaktora *Pionu*, Leona Pomirowskiego, z której wyjątek poniżej przytaczamy:

„Zapytujemy p. Millera, co go upoważniło do tych niesłychanych inwektywów, na jakiej podstawie ośmiela się zarzucać „Pionowi" serwilizm, zapytujemy go, kto w „Pionie" dał pokaz serwilistycznego stosunku do rządu i deprawacji moralnej literatury? Czekamy na odpowiedź, ale konkretną, rzeczową, bez żadnych „Scyll, Charybd i lunaparkowej" w gruncie rzeczy jakże śmiesznej, — barokowej frazeologji. Czy aby p. Miller rozumie co znaczy słowo serwilizm? Jest to wysługiwanie się komuś lub czemuś dla korzyści materjalnych z pominięciem ideowej postawy oraz godności osobistej. Kogo więc usiłuje denuncjować p. Miller wobec opinji publicznej, kogo pomawia o brak ideowej postawy dla względów natury materjalnej? Czekamy na konkretną, rzeczową odpowiedź, i aby z tą samą odwagą z jaką dzielny publicysta napisał swoją obelżywą publikację.

Czy do wypowiedzenia tych słów pobudziła p. Millera wiadomość, że założone ongiś przez obecnego premjera Tow. Kultury i Oświaty, zapewniło podstawy materjalne pismu? Ale cóż z tego ma wynikać? Że dla celów politycznej strategji p. Millera byłoby lepiej, gdyby państwo raczej tępiło placówki kulturalne? Przestańmy się jednak zabawiać w ciuciubabkę. Mówmy otwarcie — może brutalnie, ale uczciwie i po męsku.

Czy p. Miller nie wziął od znienawidzonego pomajowego rządu dobrych kilku tysięcy złotych w formie subwencji literackiej i czy za pieniądze te żądano od niego rezygnacji z jego poglądów politycznych, z jego ideowej postawy oraz jego godności osobistej? Nikt tu nie wymawia p. Millerowi czerpania z tego źródła. Była to naturalna ze strony rządu pomoc, jaką okazuje wielu innym pisarzom. Nas tu jednak interesuje fakt, czy p. Miller po pobraniu tych pieniędzy czuł się lub czuje „moralnie zdeprawowany"?

Jako jeden z redaktorów „Pionu", zapewniam p. Millera, że nikt odemnie nie domagał się „rezygna-

cji z siebie", nietylko dlatego, że nigdy żadnej subwencji od rządu nie brałem, ale że nikt wogóle od kierownictwa „Pionu" nie żądał jakiegokolwiek „wysługiwania się rządowi". Jeżeli więc ten bohaterski wypad p. Millera nie miał na celu zaszantażowania opinji na temat „Pionu", to p. Miller winien nam jest odpowiedzieć w jaki sposób to indywidualne subwencyjne zagadnienie we własnem „niezależnem" sumieniu rozstrzygnął.

Bo chyba nie ulega wątpliwości, że jeżeli p. Miller, mimo iż stypendysta rządowy przyznaje sobie — całkiem słusznie — prawo do niezależności myśli, słowa i czynu, to tembardziej i conajmniej takie samo prawo powinien przyznać tym, którzy takich indywidualnych zasiłków od rządu nie otrzymywali".

Takie przyparcie do muru słusznie się p. Millerowi należało. *J. W.*

WSTRĘTNA NAPAŚĆ

W tygodniku *Prawda*, organie przemysłowców łódzkich, zamieszczono następującej treści recenzję o książce L. T. Céline'a „Podróż do kresu nocy":

„Oprócz francuskiej, niema już obecnie na świecie literatury, która mogłaby wydać taki utwór i prawdopodobnie przekład polski jest jedynym, jakiego doczekała się ta książka. Wydawca polskiego przekładu musi być albo wielkim ryzykantem, albo też musi mieć okropne wyobrażenie o zdrowiu moralnem polskiego społeczeństwa. Bo niepodobna opisać tej ohydy i tego cuchnącego gnoju, jaki w tej książce zastępuje treść. Coś podobnego popełnić może tylko zdegenerowany francuz, i tylko Francja toleruje takie naigrawanie się z uczuć patrjotycznych, z urządzeń państwowych, ze zdrowia moralnego ludzi — tylko we Francji możliwe jest takie wyuzdanie słowa.

Bohaterem powieści jest sutener, mówiący językiem pijanej prostytutki o wojnie, patrjotyźmie, o państwie i jego reprezentantach.

W przekładzie polskim utwór ten zyskuje znakomicie na plugawej ordynarności — zapewne za sprawą tłumacza."

Tak o książce Céline'a będą pisali wszyscy ignoranci, tchórze i obłudnicy. Ignoranci, nie znający wielu dziedzin życia i niezdolni do oceny literackich wartości dzieła, tchórze, pragnący zagłuszyć każdy głos rozpaczliwego buntu; obłudnicy, strzegący niezamąconego przebiegu wszechświatowej maskarady.

Parę sprostowań.

1) Powieść Céline'a jest już przetłomaczona na kilka języków.

2) „Zdegenerowany Francuz" — został uznany przez największych przedstawicieli literatury francuskiej za pisarza o talencie ogromnym. Tak orzekli pisarze wszystkich obozów we Francji — zarówno skrajny nacjonalista Daudet i pisarz katolicki Mauric, jak i wszelkiego autoramentu radykali. B. premjer francuski, autor znakomitego dzieła o Bethowenie, nazwał powieść Céline'a „skandalicznem arcydziełem". Ale tak piszą... we Francji, gdzie uznaje się talent — bez względu na taki czy inny charakter dzieła.

3) „Zdegenerowany Francuz" dr. Louis Destouches (prawdziwe nazwisko Céline'a) — to lekarz, niosący bezinteresowną pomoc swoim pacjentom w najuboższej dzielnicy Paryża.

4) Zarzut postawiony tłomaczowi polskiemu jest nieuczciwy i kłamliwy.

Postawie Céline'a wobec człowieka i świata można zarzucić bardzo dużo, można jej przeciwstawić argumenty istotne, co też uczynimy w jednym z najbliższych numerów *Epoki*. Lecz *takie* argumenty nie mają nic wspólnego z napaścią ignorantów, tchórzów i obłudników.

SPRAWIEDLIWOŚĆ BIAŁYCH

Rzecz dzieje się w Indochinach. Ludność tych kolonij, przyłączonych do Francji, nie posiada żadnych praw i jest w całości wydana na łup administracji oraz stacjonującej w Annamie legji wojskowej. Władze cywilne odznaczają się niesłychanem okrucieństwem. Pisarz francuski A. Malraux, mieszkający przez wiele lat w Indochinach, tak określa ich postępowanie: „Warjat strzela do przechodniów, wyjąc, że zaprowadza porządek".

Niedaleko miasteczka Nam-Dan, doprowadzona do ostateczności ludność zabiła francuskiego sierżanta. Administracja cywilna i wojskowa ma już na to gotowy schemat: oczywiście komuniści. Każdy odruch mordowanej bez litości, jak za czasów konkwistadorów w Ameryce, ludności tubylczej, podciąga się pod wygodny termin rewolty komunistycznej. Dwaj legjoniści z posterunku Dai-Dinh dowiadują się o tem. Na posterunku znajduje się uwięziony tegoż dnia pod zarzutem należenia do organizacji rewolucyjnej Annamita. Legjoniści przeprowadzają badanie, chcąc dowiedzieć się od niego, kto mógł zabić sierżanta. Annamita milczy, wobec czego — dwie kule w głowę. Trupa dla ostrożności wrzuca się do rzeki, poczem obydwaj legjoniści wraz z trzecim, spotkanym po drodze udają się do Nam-Dan. Tutaj ośmiu Annamitów, oskarżonych o przynależność do nielegalnej organizacji, siedzi od trzech dni w więzieniu. Od trzech dni, a więc nie mogą mieć nic wspólnego ze świeżem morderstwem. W dodatku ich sprawa już się odbyła, zostali uniewinnieni i mają być nazajutrz uwolnieni. Legjonistów to nie wzrusza. To pewno także komuniści...

Upiwszy się niezgorzej, wyciągają ich pojedyńczo z cel „na zabawę". Jednemu z więźniów obcinają włosy przy pomocy piły, pozbawiając go równocześnie jednego ucha. Drugiemu roztrzaskują biodro kulą rewolwerową, trzeciemu przeszywają klatkę piersiową. Przypadkowego świadka tych wyczynów, tubylca, sztyletują bagnetem. Potem wszystkich więźniów pakują na samochód ciężarowy pod pozorem jazdy do szpitala. W drodze jednak się rozmyślają, rozstrzeliwują wszystkich ośmiu i ciała wrzucają do krzaków.

Sprawa się wydaje, stają wszyscy trzej przed sądem w Han-Koi. Bronią się, że chcieli pomścić zamordowanego sierżanta i że ich instrukcje pozwalają im w podobnych wypadkach karać komunistów bez sądu. Trybunał uwalnia ich od winy i kary. Równocześnie sąd w Sajgonie skazuje 120 Annamitów za branie udziału w rozruchach antyfrancuskich i przynależność do tajnej organizacji rewolucyjnej: 8 na śmierć, 19 na dożywotnie ciężkie roboty, 79 na łączną karę 970 lat więzienia.

Od obu wyroków założono kasację, którą ma rozpatrywać Sąd Najwyższy w Paryżu.

DROGI NAPRAWY FILMU

Krytyka ogólnej linji rozwojowej dzisiejszego kina ma o tyle rację bytu, o ile znane są i osiągalne drogi, któremi kino może dojść do innych, wartościowych kulturalnie rezultatów. Zasadniczą przeszkodą jest sama struktura ekonomiczna filmu — komercjalizm, nastawienie na najszybszy i najpewniejszy zysk. W ustroju kapitalistycznym sztuka filmowa skazana jest na deformację, wywołaną przez nacisk ze strony kapitalisty, który w większości wypadków będzie się starał poziom twórczości obniżyć, pragnąc zaspokoić upodobania popularne. Nie zdając sobie z tego sprawy, iż „stosując się do gustu publiczności", obniża i zniekształca ten gust, będzie pośredniem ogniwem w procesie ogólnej dewaluacji wartości kulturalnych.

Powstanie dzieła sztuki w innych dziedzinach, niż kino, nie jest uwarunkowane posiadaniem zasobów pieniężnych przez twórcę. Literat może tworzyć, o ile ma papier i ołówek, podobnie niewiele potrzebuje malarz czy muzyk. Ale filmowiec może wykazać swoją twórczość dopiero, gdy dysponuje drogim surowcem fotograficznym i aparaturą techniczną. Scenarjusz jest jedyną drogą ujścia dla talentów twórczych, ponieważ nie wymaga ryzyka, ale scenarjusz to jeszcze nie film. Po scenarjuszu nastąpić musi produkcja, a ta wymaga starannych wyliczeń i wróżb kalkulacyjnych, które uzależnione są od kasowości tematu. O ile literat czy muzyk może podzielić swoją twórczość na dwa odcinki — właściwie twórczą działalność, niezależną od uznania kasowego i robotę kompromisową, obliczoną na dorywczy zysk, aby przetrwać; o ile praca jego ściśle artystyczna nie ginie, ponieważ uwiecznia ją kawałek papieru i pióro — o tyle artysta filmowiec musi dla swojej pracy wybrać jeden tylko odcinek kompromisowego tworzenia w nadziei na zysk, chyba, że sam jest mecenasem sztuki i dysponuje kapitałem.

Film artystyczny zjawia się o tyle tylko, o ile ma mecenasów, albo jeżeli jest „kasowy", co przy stałem obniżaniu gustów widza możliwe jest tylko w rzadkich wypadkach.

Oczywiście pogodzenie idei zysku z ideą przydatności kulturalnej jest konieczne, o ile chce się połączyć pracę filmową z zasadami, na których opiera się wszystko dokoła nas. W postępowaniu producentów kryje się tajemnica podaży i popytu. Znany jest fakt, kiedy to na terenie Warszawy stworzono pewnemu bardzo średniemu obrazowi wielkie powodzenie i wielki sukces — sztucznie, przez odpowiednią politykę. Stosunek publiczności do filmu zależy w dużym stopniu od tych, którzy obrazy produkują i tych, którzy je wyświetlają. Znane są wypadki sztucznego stwarzania i gaszenia talentów aktorskich w myśl polityki eksploatacyjnej wytwórni amerykańskich. Rzeczy te robi się dla lepszego zapewnienia sobie bussinessu. O ile bezwartościowa twórczość daje się w ten sposób eksploatować, czy nie łatwiej możnaby prowadzić tę samą politykę w stosunku do zjawisk kulturalnie wartościowych? Znane są wypadki wielkiego powodzenia kasowego utworów najzupełniej odbiegających od szablonu tematem i ujęciem. Owczy pęd i obawa przed ryzykiem nie pozwala wytwórniom na zasadniczą zmianę frontu.

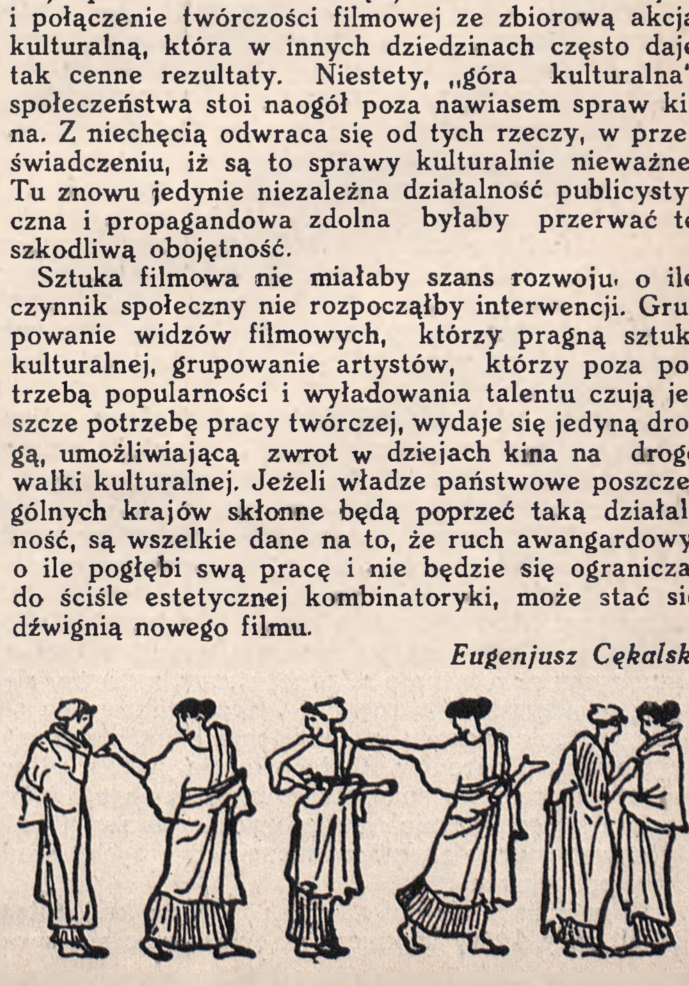
Nie należy się przeto łudzić, że zwrot tego rodzaju nastąpi. Raczej przypuszczać można, iż kapitał, jak to poniekąd stało się w Ameryce, w zrozumieniu własnego interesu, pójdzie na podwyżkę płac i skrócenie czasu pracy, niż na zmianę polityki produkcyjnej i na podporządkowanie ogólnego poziomu artystycznego filmów choćby najogólniej pojętym wymaganiom kultury.

Sytuacja wydaje się w zasadzie beznadziejna i akty protestu ograniczyć się mogą, jakby z tego wynikało, jedynie do ciągłej akcji prasowej i do ostrej krytyki, która bądź co bądź jest bodźcem dla kapitalisty. (O ile „kampanja" nie kończy się tranzakcją, pewną ilością ogłoszeń lub pensją dla niewygodnego krytyka).

Istnieje jednakże droga inna; tą drogą jest poprostu zrzeszanie ludzi myślących o filmie artystycznym i usiłowanie stworzenia wytwórni nie opartych na samej tylko potrzebie zysku. Wydaje się rzeczą dziwną, że artyści - filmowcy zagranicą wykazują pod tym względem tak skromną inicjatywę. Réné Clair w liście, wystosowanym do stowarzyszenia „„Start", żali się, że „okres dzisiejszy stwarza warunki tak dla rozwoju sztuki wrogie". Jak wiadomo produkcja „14 lipca', jako filmu niekasowego, wywołała między nim a wytwórcą konflikt. Wydaje się najprostszem wyjściem właśnie ingerencja w te sprawy jednostek tak mocnych artystycznie — no i bądź co bądź finansowo — jak Clair, Chaplin, Pabst, czy ktokolwiek inny z kilkunastu świadomych swej roli artystów. Jednakże talent idzie naogół w parze z absolutną nieporadnością ekonomiczną i może stąd płynie bezowocność tej koncepcji. Drogą właściwą pozostaje przeto zrzeszanie się jednostek kulturalnych i połączenie twórczości filmowej ze zbiorową akcją kulturalną, która w innych dziedzinach często daje tak cenne rezultaty. Niestety, „góra kulturalna" społeczeństwa stoi naogół poza nawiasem spraw kina. Z niechęcią odwraca się od tych rzeczy, w przeświadczeniu, iż są to sprawy kulturalnie nieważne. Tu znowu jedynie niezależna działalność publicystyczna i propagandowa zdolna byłaby przerwać tę szkodliwą obojętność.

Sztuka filmowa nie miałaby szans rozwoju, o ile czynnik społeczny nie rozpocząłby interwencji. Grupowanie widzów filmowych, którzy pragną sztuki kulturalnej, grupowanie artystów, którzy poza potrzebą popularności i wyładowania talentu czują jeszcze potrzebę pracy twórczej, wydaje się jedyną drogą, umożliwiającą zwrot w dziejach kina na drogę walki kulturalnej. Jeżeli władze państwowe poszczególnych krajów skłonne będą poprzeć taką działalność, są wszelkie dane na to, że ruch awangardowy, o ile pogłębi swą pracę i nie będzie się ograniczał do ściśle estetycznej kombinatoryki, może stać się dźwignią nowego filmu.

Eugenjusz Cękalski



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

KSIĄŻKA O NACJONALIZMACH POWOJENNYCH

Profesor Fortunat Strowski, jeden z najwybitniejszych badaczy i znawców przeszłości literackiej Francji, interesuje się wszelkiemi objawami zbiorowego życia narodów cywilizowanych w okresie powojennym. Wiele zagadnień tego życia profesor Strowski poruszył w swojej książce o Ameryce, którą zwiedzał przed kilku laty, oraz w książce p. t. „Człowiek współczesny", wydanej ubiegłego roku.

Ostatnio ukazała się nowa praca prof. Strowskiego, której treścią jest charakterystyka i djagnoza powojennej epidemji nacjonalistycznej, ogarniającej większość cywilizowanych narodów świata („Nationalisme ou patriotisme").

Prof. Strowski stara się wyodrębnić charakterystyczne cechy nacjonalizmu poszczególnych narodów; znaleźć przyczynę, która ów nacjonalizm ukształtowała w taki, a nie inny sposób. Zastanawia się nad powszechnością tego zjawiska. Zbyt może jednak łatwo i prędko rozgrzesza Francję, uważając jej nastroje ogólne i politykę za całkowicie wolne od skazy nacjonalizmu i imperjalizmu. Widocznie wydarzenia w Indochinach i Marokku wydają mu się sporadycznemi nieporozumieniami, wywołanemi przez nieudolnych funkcjonarjuszy państwa, nie zaś wynikiem pewnych określonych dążności politycznych.

Najbardziej szczegółowej analizie profesor Strowski poddaje nacjonalizm amerykański, włoski i niemiecki. W nacjonaliźmie amerykańskim wskazuje jako na najpotężniejszy cement, łączący w jedno ludzi wszelakiego pochodzenia etnicznego — pychę z osiągnięć w zakresie kultury życia materjalnego, pychę wyrażającą się w popularnej formule wszelkich „największości" i „najlepszości" amerykańskich.

Autor prześwietla różne, bardzo charakterystyczne cechy nacjonalizmu amerykańskiego: brak tradycjonalizmu, przywiązania do wygód w życiu codziennem, techniczno-przemysłowy charakter wykształcenia, specjalny rodzaj idealizmu, polegający na fakcie, że Amerykanin wszelką działalność dla dobra ogółu rozpoczyna od robienia majątku.

Nacjonalizm amerykański jest młody, naiwny, bardzo jednak silny, całkowity i głęboko zakorzeniony w obywatelach.

Faszyzm, który złączył skłócone Włochy powojenne pod hasłem niezależności i jedności państwa, stworzył nową formę nacjonalizmu, nawiązując swoje poczynania państwowe do tradycji Rzymu starożytnego. Ze względu na swój charakter wybitnie antyindywidualistyczny faszyzm przypomina w niektórych działach organizacji Sowiety, w innych Amerykę. Skupiając swoje młode siły żywotne około Mussoliniego, faszyści zwracają wzrok w kierunku Rzymu starożytnego z jednej strony, z drugiej sięgają w przyszłość Europy, w której spodziewają się odegrać rolę narodu przodującego, organizującego życie innych narodów. W tej właśnie pretensji tkwi niebezpieczeństwo nacjonalizmu włoskiego, który opiera się ostatecznie na sile fizycznej, bezwzględnie stosowanej przy akompanjamencie twardych środków policyjnych.

W nacjonaliźmie niemieckim uderza kult potęgi i kult rasy, który wyklucza pojęcie równości i sprawiedliwości. Obydwa te kulty zostały doprowadzone do absurdu przez hitleryzm, który wniósł do nich mistykę organizacji. W sprusaczonych Niemczech przedhitlerowskich ustrój polityczny i społeczny zachowywał jeszcze dużo cech feodalnych. Rok 1918 skruszył te ramy, nie dając jednak nic określonego na miejsce dawnej hierarchji. Hitler podniósł nanowo dawne hasła nacjonalistyczne. Gwałtowny antysemityzm hitlerowski tłomaczy się wymaganiami „programu" hitlerowskiego, który musiał dać coś bezrobotnym, rozwiązał więc sprawę w ten sposób, że odebrał majątki posiadaczom Żydom, których mógł podać za elementy szkodliwe dla czystości rasy aryjskiej. Ponieważ zaś w ramach ustroju hitlerowskiego nie mógł się zmieścić ani socjalizm, ani komunizm, odpowiednie ugrupowania zostały zniszczone siłą. Hitler zmobilizował pod hasłem odwetu bataljony pracy, w których panuje wojenna dyscyplina i przy pomocy których „Führer" zamierza odrodzić życie gospodarcze Niemiec.

W samych już swoich założeniach nacjonalizm niemiecki jest niebezpieczny dla świata, i profesor Strowski ostrzega przed nagromadzonemi w Trzeciej Rzeszy „materjałami wybuchowemi".

Sowiety, których istnienie opiera się na przesłankach socjalizmu międzynarodowego i których twórcami byli ludzie różnych narodowości, ujawniają dążenia nacjonalistyczne w swoich zamiarach odrodzenia świata. Przyświecający Sowietom ideał uprzemysłowienia kraju na wzór Ameryki, kult pracy, rozmach w przedsięwzięciach, mających na celu opanowanie przyrody: to wszystko są szczeble, prowadzące do utopijnego państwa przyszłości. To też każde niepowodzenie, każde rozczarowanie przy realizacji „planów pięcioletnich" przypisuje się w Rosji wrogom proletarjatu, gdyż Rosja sama jest „nieomylna". Taki jest dogmat tego nacjonalizmu, który „daje miljonowym rzeszom entuzjazm w pracy, posłuszeństwo w nędzy i fanatyzm w zatraceniu".

Mówiąc o Polsce, prof. Strowski uwzględnia jedynie czasy niewoli i wskazuje na rolę, jaką w tym okresie naszej historji odegrał mesjanizm.

Nacjonalizm żydowski ma na celu utrzymanie jedności, żywotności i godności rozproszonych po wszystkich krajach Żydów. Nie wyklucza on jednak silnego poczucia przynależności państwowej i przywiązania do kraju, w którym Żydzi mieszkają i którego czują się obywatelami.

We wnioskach ogólnych profesor Strowski stwierdza, że w stosunkach międzynarodowych nacjonalizmy zaczęły odgrywać poważniejszą rolę dopiero po wojnie; i że rozkwit ich stanowi jedną z cech charakterystycznych epoki współczesnej. Pełnię życia zapewnia im niepokój i obawa przed sąsiadami; do spotęgowania ich przyczynia się wychowanie, które im daje formę i charakter nakazu. Skuteczny sposób zwalczania nacjonalizmu profesor Strowski widzi w wychowaniu. „Na to, aby być szczęśliwym, mówi, trzeba żyć w zgodzie z sobą, a pierwszym warunkiem do tego jest żyć w zgodzie z innymi... Zapominać tak dalece, że się jest człowiekiem, aby sądzić, iż razem z pewną ilością miljonów podobnych sobie ludzi znalazło się sprawiedliwość, prawdę i prawo zagarnięcia pod swą władzę reszty świata, to znaczy być dotkniętym niebezpiecznem szaleństwem."

Stanisława Jarocińska-Malinowska

Z DZIEJÓW MASONERJI W POLSCE

NA MARGINESIE KSIĄŻKI „WOLNE MULARSTWO W LUBELSZCZYŹNIE"

Wyszła z druku nowa praca St. Małachowskiego — Łempickiego p. t. „Wolne Mularstwo w Lubelszczyźnie 1811 — 1822", wydana przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie.

W naszej literaturze z zakresu historji kultury polskiej poważną lukę stanowi niedostateczne zbadanie roli i znaczenia wolnomularstwa; brak także syntetycznie ujętej historji tego ruchu. Gdy zagadnienie wolnomularstwa w innych krajach posiada bogatą literaturę, oświetlającą je w związku z panującemi prądami myśli filozoficznej, religijnej i społecznej, oraz na tle wypadków historycznych, u nas żadnej w tym przedmiocie pracy bezstronnej, opartej na danych źródłowych, niema. A. Brückner w „Dziejach kultury polskiej", poświęca wprawdzie wolnomularstwu nieco uwagi, lecz czyni to pobieżnie, ogólnikowo. Askenazy w „Łukasińskim" rozpatruje przeważnie t. zw. Wolnomularstwo Narodowe, czyli wojskowe, mające na celu przygotowanie powstania listopadowego — a więc tylko jako fragment. Nie czynią tej potrzebie zadość sumienne i źródłowe opracowania fragmentaryczne poszczególnych lóż St. Małachowskiego—Łempickiego, a jeszcze w mniejszym stopniu poważne, aczkolwiek wyraźnie tendencyjne studjum ks. Załęskiego „O masonji w Polsce"*). Książka A. Niemojewskiego „O masonerji i masonach" stanowi tylko szkic w najogólniejszych zarysach, praca zaś Egerowej „Historja masonerji i innych towarzystw tajnych", oraz kilkanaście broszurek antymasońskich nie przedstawiają żadnej naukowej wartości. Autorowie ich czerpią natchnienie z dwóch źródeł: pracy Jezuity Załęskiego i... własnej wybujałej fantazji. K. Morawski w luźnych artykułach i odczytach rozpatruje przeważnie epokę saską i zajmuje się różnemi związkami tajnemi, przeszczepionemi z Niemiec, podciągając je pod jeden strychulec masonerji, jakkolwiek one nic, albo niewiele wspólnego z nią posiadały. Bardzo cenna praca J. Urbańskiego o lożach masońskich na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej w XVIII st. nie wyczerpuje również całości zagadnienia.

A wszakże masonerja bardzo znaczną rolę odgrywała w naszem życiu politycznem, kulturalnem i społecznem. Powstała w Anglji w drugim dziesiątku XVIII stulecia, szybko rozpowszechniona została w innych krajach, m. in. i w Polsce. Pierwsza, bez osobnej nazwy loża powstała w Warszawie w 1738 r., jako filja loży drezdeńskiej „Trzech Białych Orłów". Cztery lata później założono lożę w Wiśniowcu, a w 1755 r. w Dukli, również bez osobnych nazw. Następnie w Warszawie powstały loże: „Dobry Pasterz" i we Lwowie „Trzech Bogiń". Niepodobna tu wyliczać wszystkich lóż, powiemy tylko, że do chwili kasaty wolnomularstwa w Polsce t. zn. do r. 1821, było ich 310. Wszystkie pierwsze loże były zależne od Wielkiej Loży Londyńkiej, choć rządziły się statutem francuskim. Dopiero w 1784 r. utworzony został Wielki Wschód Polski. Po roku 1795 działalność wszystkich lóż była zawieszona. Dopiero za czasów Księstwa Warszawskiego w 1807 r. powstała loża „Frères reunis", uzależniona od Wielkiego Wschodu Francji, a w 1810 r. utworzono Wielki Wschód Narodowy.

Pozbawione zrazu wszelkiego mistycyzmu, wolnomularstwo uległo powszechnie wówczas panującym wpływom mistyczno - okultystycznym, zaprawionym kabalistyką różnych związków, w których wiedza tajemna dominowała. W XVIII stuleciu pełno było w Europie takich związków, główną wszakże ich siedzibą były Niemcy. Stamtąd też za panowania Sasów przenikały do Polski. Mistyka tych stowarzyszeń stanowiła reakcję przeciwko racjonalizmowi z jego wiarą w nieograniczoną potęgę rozumu i usiłowaniem rozwiązywania zagadnień metafizycznych drogą empiryczną. Tu zauważyć należy, że racjonalizm na gruncie polskim był bardzo umiarkowany i, choć kształtował się na francuskim, uważał np. Woltera za zbyt radykalnego; warstwy wykształcone końca XVIII w. przejęte były sensualizmem w duchu Locka. Związki powyższe stwarzały wdzięczne pole dla różnych manjaków, wizjonerów i fantastów w rodzaju St. Martin'a, Swedenborga, lub nieszczęsnego rodaka naszego, „Króla Nowego Izraela", T. Grabianki, od którego prof. Ujejski wyprowadza początek historji polskiego mesjanizmu. Związki te były też szeroką areną dla działalności wszelkiego autoramentu szarlatanów i awanturników, jak St. Germian, Hund, Casanowa, Cagliostro i w. in. Widzimy tam poszukiwaczy bądź „kamienia filozoficznego, bądź eliksiru życia", alchemików i jasnowidzów, posiadaczy rzekomych sekretów magów egipskich, chaldejskich, czy indyjskich, wreszcie kontynuatorów różnych związków hermetycznych i t. p. Zazwyczaj jeden taki awanturnik demaskował innego, by założyć własny związek i z kolei zostać zdemaskowanym. Niekiedy taki szarlatan zdemaskowany w jednem miejscu, jak np. Cagliostro w Warszawie, najspokojniej grasował gdzieindziej i wyłudzał od swych adeptów olbrzymie pieniądze. Do związków tych należał kwiat inteligencji, brali też w nich udział książęta krwi (Fryderyk Wilhelm II, Ferdynand Brunświcki i in.).

Nic dziwnego, że mistyka tych związków, jako potrzeba duchowa, znalazła przejściowo oddźwięk i w lożach masońskich. Silne pierwiastki irracjonalne duszy człowieka, występowały tem jaskrawiej, im bardziej filozofja wieku oświecenia je zapoznawała: one to stanowiły pomost, wiodący myśl ludzką od wieku oświecenia do romantyzmu, który właśnie stał na stanowisku, że pobudkę do wielkich czynów i czynnik postępu ludzkości stanowią nie racjonalne, lecz irracjonalne pierwiastki. Znamiennym jest zresztą fakt, że właśnie w okresie romantyzmu masonerja wyzbyła się całkowicie naleciałości mistycznych, a różne związki tajne przekazane epoce romantyzmu przez wiek oświecenia stopniowo znikały. To zaś zjawisko należałoby przypisać z kolei reakcji przeciwko romantycznej przewadze ducha nad rozumem. Pierwiastki rozumowe, których romantyzm nie był w stanie wykorzenić, stanowiły jego substancję rozkładową i przygotowywały podłoże dla późniejszego pozytywizmu. Z mistyką i zabobonem, które się za-

*) Prof. Ign. Chrzanowski bardzo surowo pracę tę osądza, uważając autora za „pesudo-uczonego, kompromitującego naukę, a właściwie samego siebie".

kradły do wolnomularstwa, walczyli najprzedniejsi masoni, między innymi Lessing i in., najskuteczniej jednakże walczył illuminizm bawarski A. Weisshaupta i A. Kniggego, przy niemałym udziale Goethego i Herdera. Illuminizm zajął stanowisko kompromisowe: przy racjonalistycznej ideologji wolnomularstwa zachował pewne pozory mistycyzmu.

Wolnomularstwo naogół nie posiadało żadnych cech mistycyzmu, propagowało światły deizm w duchu wolterowskim, jako pojęcie Boga bezosobowego, odrzucając religję objawioną z dogmatami i misterjami, a także wszelki antropomorfizm; zwalczało przytem fanatyzm i przesądy. Masoni nie posuwali się jednak poza krytykę „objawienia" i nie szukali wyjaśnienia wszelkich zjawisk w samej jeno materji. Teorje Helvetiusa i Holbacha w tym względzie nie znalazły u nich oddźwięku. Loże polskie temi tematami naogół nie zajmowały się, propagowały jedynie tolerancję religijną. Konstytucja Wielkiej Loży Narodowej zabrania wszelkich dyskusyj na tematy religijne, prawdopodobnie nie chcąc dopuszczać do rozdźwięku między braćmi. Wolnomularstwo polskie było, mimo nieprzychylnego doń stosunku Stolicy Apostolskiej, w stałej łączności z Kościołem przez swych członków, przedstawicieli duchowieństwa katolickiego. Było nadto nawskroś narodowe, a posiadając w swem gronie elitę społeczeństwa, wywierało niemały wpływ na bieg spraw politycznych. Jego to wpływom zawdzięczamy Komisję Edukacyjną, Konstytucję 3-go Maja, a w niemałym stopniu powstanie Kościuszkowskie — choć przynależność Naczelnika do masonerji jest kwestjonowana; dalej, Legjony Dąbrowskiego, polityka Rządu Księstwa Warszawskiego i w dużym stopniu Rządu Królestwa Kongresowego, wreszcie powstanie listopadowe. Przytaczam momenty najważniejsze.

Szczególnie duży rozkwit wolnomularstwo polskie osiągnęło w ostatnich sześciu latach jego istnienia, w 1815 — 1821 r., w ciągu których założono 90 nowych lóż. Cała inteligencja należała wówczas do masonerji, a wpływom jej podlegali ludzie nawet do masonerji nie należący, jak np. Mickiewicz. W „Odzie do młodości" znać silne odgłosy wolnomularskie: „Zgodnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko". Ustęp ten wskazuje z jednej strony na charakter ogólnoludzki Ody, z drugiej strony — na tendencje reformatorskie w kierunku powszechnego braterstwa, tak właściwe ideom wolnomularskim. Wolnomularze uznali tę odę za swoją pieśń i wydali ją z godłami wolnomularskiemi na okładce. Znać te wpływy również w wygłoszonym w Towarzystwie Filomatów wierszu: „Już się z pogodnych niebios", w którym jeden ustęp brzmi:

„Nas, kiedy w niższym stopniu śmiała chęć nie kładzie
Gdy nowe tworzym gmachy na nowej posadzie".

Wolnomularstwo utożsamiają niektórzy z ideologją Templarjuszów i wywodzą je od tego Zakonu. Tezę tę wypowiada także ks. Załęski, choć źródła, z którego ją zaczerpnął, nie podaje. Małachowski — Łempicki źródło to ujawnia i twierdzi, że pierwszy tezę tę wysunął Michał Ramsay. (Zdaje mi się, że szanowny autor był w błędzie, gdyż był to nie Michał lecz Andrzej Ramsay, reformator lóż angielskich). W świetle badań historycznych teza ta wogóle upada, choć nie da się zaprzeczyć, że roku 1717, w którym cztery loże angielskich wolnych mularzy złączyły się w jedną wielką lożę, nie można uważać za początek masonerji, jak to ogólnie przyjęto. Każda z tych lóż stanowiła już wówczas starą organizację z tradycjami, sięgającemi średniowiecza. Genezy tych lóż nie można ustalić, tembardziej, że dla jakichś niewiadomych powodów wszelkie dokumenty Wielkiej Loży jeszcze przed konstytucją wolnomularską Andersona z 1723 r. zostały spalone.

Powtarzając wersje o związku masonerji z Templarjuszami, ks. Załęski miał jakąś ukrytą myśl, chodziło mu niezawodnie o zdyskredytowanie masonerji w oczach katolików, choć wiele miał danych na to, że wolnomularstwo polskie Kościoła nie zwalczało i w gronie swem posiadało wielu wysokich dygnitarzy duchowieństwa katolickiego. Ten fałsz historyczny był przez naszego Jezuitę wyzyskany świadomie, gdyż, jak wiadomo, Zakon Templarjuszów skasowany został przez papieża Klemensa V za rzekome przejęcie się herezjami gnostyków. W rzeczywistości zaś papież uczynił to pod naciskiem Filipa Pięknego, któremu potrzebne były ogromne bogactwa Zakonu.

Hipotezę tę można było tem łatwiej zaryzykować, że z jednej strony w w. XVIII była w Polsce loża „Cnotliwy Sarmata" z rytem templarjuszowskim, były również próby wskrzeszenia tego rytu za czasów Króletwa Kongresowego, co spędzało sen z powiek Nowosilcowa. Mogło to mieć miejsce tylko przejściowo, gdyż wszystkie loże polskie, o których wiadomości doszły do nas, rządziły się rytem siedmiostopniowym Różanego Krzyża, a od 1817 r. — rytem szkockim, dawnym i uznanym, o 33 stopniach.

Z drugiej strony — do tezy o związku z Templarjuszami upoważniła ks. Załęskiego, prawdopodobnie symbolika wolnomularska, w której wiele momentów wskazuje na pewne reminiscencje wschodu, szczególniej Jerozolimy, Świątyni Salomona i t. p. Tak np. w czasie obrzędu Mistrz Katedry znajduje się na wschodzie loży „tam bowiem słońce bieg swój rozpoczyna", dozorcy zaś lożowi zasiadają na zachodzie, bo „tam słońce bieg swój kończy". Dalej napisy na insygniach w języku hebrajskim, na kobiercu rysunek świątyni Salomona, wreszcie kwiat akacji, posadzony rzekomo na grobie zamordowanego Hirama. Co do tej akacji, to nie do przyjęcia wydaje się teza A. Niemojewskiego, iż ma ona symbolizować dobroć, (czystość, bezzło), które w języku greckim, oznacza słowo „akakia". Nie ulega wątpliwości, że wiele symbolów wolnomularskich jest zapożyczonych, jednakże nie od Templarjuszów, lecz od Rozenkreuzerów lub jak ich Krasiński nazywa — Różokrzyżowców, co zresztą nie wyklucza możliwości, że ci ostatni przejęli je od Templarjuszów, choć ostatnie badania wskazują, że późniejsi „Gold - Rosenkreuzerzy" zapożyczali symbole od masonów.

Wyprowadzanie wniosków o związku z Templarjuszami na podstawie symboliki wolnomularskiej jest oczywiście błędne. Wolnomularstwo, które postawiło sobie za cel budownictwo, ale rozumie się, w znaczeniu przenośnem, — budowanie człowieka i nowego życia, musiało za przykładem ówczesnych korporacyj i związków, przyjąć odpowiednie emblematy, jak młotek, kielnia, libela, pion, kamień nieociosany, kamień sześcienny i t. p., a także jakąś budowlę monumentalną, wspaniałą i doskonałą.

(Dok. nast.). *Czesław Chorzelski*

POJEDYNEK WIELKICH

FRAGMENT Z OPOWIEŚCI „PIĘĆ PALCÓW"

Rzecz dzieje się na Dłoni. Bohaterowie — „Pięć palców". Bosam, mędrzec i wielkorządca, Wskazujący — redaktor i detektyw, Środek — przedstawiciel przeciętności, Appolin — artysta i Ben — kobieta fanatyczka — bosamistka. Dłoń Lewica jest krajem wysoce zracjonalizowanym i zmechanizowanym. Po wielu perypetjach Appolin odkrywa drugą Dłoń — Prawicę. Jest to kraj dziki i pierwotny, zamieszkały przez sobowtóry Palców. Samob, wielkorządca, jest jej najwyższym kapłanem, Index — szarlatanem i popularyzatorem, Żywiołka — kobietą pierwotną i żywiołową, Djana — szlachetną mistyczką, Małysz — tępym, bezmyślnym i krwiożerczym bigotem. Mieszkańcy Lewicy i Prawicy są jakby sobowtórami reprezentującymi odmienne światopoglądy. Po kataklizmie połączenia się, wspólny język znaleźli kochankowie Djana i Appolin.

Żywiołka pchnęła Środka tak, że aż się zatoczył i popędziła z rozwianym włosem, radosna z nagłej i nieczekanej swobody, radosna, że wreszcie coś się dzieje, że można lecieć na gapę i krzyczeć byle mocniej i pędzić bez tchu.

Nie wiedziała o niczem, ale była szczęśliwa, że może się wyszumieć i wyburzeć, choć niewiedzieć poco i przeciwko czemu.

Porwany jej rozpędem Środek, też nie mógł ustać przy warsztacie. Przypominały mu się świetne i burzliwe czasy bohaterskie, gdy biegł tam, gdzie wszyscy pędzą i krzyczał to, co wszyscy krzyczą.

Tumult rosnął. Zwalone kamienie, części strzaskanych rusztowań, pokruszone mury tworzyły barykadę.

Zgiełk okrzyków podnosił się, jak wichr, nagle rozpętany, namiętność bitwy ogarniała braci, Zakon i Radę. Nie było już pomiędzy nimi Tłomaczów Miłości.

Każdy czuł się na nowo zrośnięty ze swą Dłonią, sam już nie wiedząc, przez miłość raczej, czy przez nienawiść — ale teraz dopiero stawała im się własna Dłoń istotnie drogą, a wszystko poza nią wydawało się — fałszem. Nie chodziło tu już o osoby, ale o rację ogólną, wszystkim jednakowo bliską i zrozumiałą. Gotowała się wielka wojna dwóch światów i dwóch prawd, bo wszyscy wiedzieli, że jedna tylko może się ostać na placu.

Stali tedy jako wrogowie na życie i śmierć. Wskazujący, widząc przewagę po stronie Lewicy, wytaczał okropny arsenał śmierci, który był największą zdobyczą cywilizacji Prawicy.

Największy postrach wzbudzały latające „Puszki Pandory", pełne gazów ślepiących, usypiających i śmiertelnych. Były tam gazy ogłupiające, które wojsko przeciwnika zamieniały nagle w obóz idjotów. Straszliwa ta broń była wynalazkiem Wskazującego, który niejednokrotnie i z nader pomyślnym wynikiem wypróbował ją na braciach swej Dłoni. Działanie gazu ogłupiającego było tak silne, jak wpływ Gazety Pięciu Palców w setnej potędze. Index znał tę broń i włosy jeżyły mu się na głowie, jednakże Lewica nie upadała na duchu, zbrojąc się w swoistą broń hypnozji — środki medjumiczne, tem niebezpieczniejsze, że ukryte dla oka. Mobilizowano również podręczną armję demonów, służbę łącznikową mieli pełnić telepaci. Owe niewidzialne siły miały się przeciwstawiać przemocy materjalnej i gazowi ogłupiającemu. Słychać było w powietrzu gruchanie śmiertelnych „puszek Pandory" i chmura gradowa przeczuć niedobrych nie dawała piersiom oddechu.

Nagle z pośród szeregów wysunęła się Żywiołka. Wyprostowała swą dorodną postać, widocznie już brzemienną, i zawołała głosem wielkim: a gdzież są wielcy? Gdzie Bosam i Samob? Za nich za chwilę będziem się zabijać. Ich to idee walczyć będą, a nie nasze. Ich wynalazkami będziem się zabijać. Chcę życia! zawyła, jak wilczyca. Chcę życia dla siebie i dla wszystkich.

Precz! Precz z każdą ideą, która niszczy przenajświętsze życie, przelewa krew, która już nie wróci, zabija ludzi, którzy już nie wstaną!
O matki, nie damy życia naszych dzieci, ani dzieci cudzych! Czyż warto znosić bóle porodu, ażeby cierpieć stokroć straszniejszy ból rozłąki, której nie można zapomnieć. Nie wypuścimy nagiego i bezbronnego chłopca na gazy i armaty. Sprzysiągł się przeciwko biednym dzieciom naszym rozum całego świata, ażeby ich młode ciała pokaleczyć, podziurawić i zniszczyć! Nie damy ich! Niech żyją i radują się dzieci wszystkich matek, dzieci wszystkiej ziemi. Za żadne skarby, za żadne, za żadną ideę, nie damy żadnym bogom ludzkiej ofiary, a jeśli wasze idee żądne są krwi, o wielcy, idźcie bić się sami. Na pojedynek! Bosamie i Samobie, na pojedynek! — krzyczała, zaciskając pięście. — Na pojedynek! zawtórował nagle tłum.

Niech żyje życie! Niech żyje Żywiołka! Czcijmy życie! Na pojedynek, wielcy! Na śmierć, kto nie czci cudzego życia!

Ani Bosam, ani Samob nie ukrywali się, czyż można ukryć wielkość? Zagrzmiały trąby i bębny, obwieszczając pojedynek Wielkich. Kiedy się ukazali, tłum się rozstąpił nagle, uciszony instynktowną bojaźnią, zamykając ich jak w cyrkowem kole.

Jedynie Żywiołka nie ustąpiła im drogi, lecz stała przed nimi wielka i brzemienna, pełna wściekłości i pragnienia życia, życia dla wszystkich i za wszelką cenę.

Tłum zaniemówił przed Majestatem Wielkich, ale nie uciszyła się Żywiołka, tylko wyrzucała z siebie potoki zapienionych słów.

— Cóżeście zmilkli, barany? Nieście broń, krzyczała, niech się zabijają tą samą bronią, którą na was ukuli. Nieście broń, niech się wytrują i wykłują mieczami, które na was ukuli. Na pojedynek, Wielcy, wybierajcie broń, mordercy! Wybierać broń, wtórzył Żywiołce tłum.

Samob podniósł rękę na znak, że chce mówić.

Uciszyło się.

— Nas nie można wytruć gazem, ani wystrzelać kulami, uśmiechnął się Samob.

— Można nas zabić tylko myślą, więc dalej! zaszydził Bosam, strzelajcie słowami — byle nie było pustych nabojów!

— Umarli będziemy żyć w was!

— To prawda, rzekł Index, najstraszniejsi są Wielcy po śmierci, kiedy zamieniają się w myśl i opętują nas.

— Niech więc mordują się własną bronią, niech się biją na myśli — rzekł Wskazujący.

Trzykrotnie zagrzmiały trąby.

— Przyjmujesz broń? zapyta Bosam.

— Przyjmuję, odrzekł Samob, jeden z nas zginąć musi, bo dwóch prawd być nie może. Zabij mnie!

— Rozumiem cię, chcesz najłatwiejszego zwycięstwa — męczeństwem, i cisnął daleko od siebie miecz, który po trzon wbił się w ziemię.

— I tobie, Bosamie, nie dam legendy, rzekł Samob, odrzucając granat, który wybuchł opodal w czarnej fontannie ziemi i ognia, grzmotem i dymem przesłaniając świat.

Zachwiał się amfiteatr przerażonych widzów, nikt jednak nie uciekał, z zapartym oddechem i otwartemi usty bracia obu Dłoni czekali na wynik.

— Pocóż cię zwalczać? — zawołał Samob, przeminiesz sam, jak każdy fałsz, jak twoja nieśmiertelność w żelazie tylko zawarta i kamieniu i jak twa prawda, którą wyśmieje każdy twój wnuk.

— Ty zaś nie przeminiesz, boś jest próżnią, martwego niczem zabić już nie można, jam żywy — życiem jest przemiana, postęp i ruch.

— Poddajesz się Bosamie, przyznajesz nieśmiertelność memu ideałowi.

— Czemże jest ideał, Samobie? Hipotezą o szczęściu ludzkości. Czyż są ideały złe i dobre, są tylko wczorajsze, dzisiejsze i jutrzejsze; buntem są jutrzejsze, zacofaniem wczorajsze, lojalnością — dzisiejsze. A każdy uszczęśliwić chce ludzkość po swojemu. Czyż można tedy sądzić człowieka podług ideałów? Gdzież jest co stałego? wieczny ruch?

— Jest dla mnie miara i waga stała. Bosamie, sprawdzian i wieczna ostoja, nie według ideałów mierzę ludzi, sądzę ich według środków, któremi do nich zdążają.

— Co czynisz Samobie? Miecz twój obosieczny, poraziłeś nim nas obu. Sam się nadziałeś na własny miecz. Obaj jesteśmy zwyciężeni, bo każda nasza myśl, twoja i moja nosi w zarodku haniebną śmierć urzeczywistnienia.

— Zwyciężeni, zahuczał tłum, obaj Wielcy zwyciężeni!

— Nic nam już nie przerwie rozkoszy żywienia się i rodzenia — krzyczała Żywiołka. Zwyciężeni pożarli się nawzajem. Nadzieli się na własne myśli. Hurra!

— Uciszcie się, rzekł Samob, to nie jest cios, to brzękły słowa, krzesząc skry. Ten miecz tylko w ciebie godzi, Bosamie, wielki człowieku małej wiary. Owoc myśli, dojrzewając upada, jakoż, jak nie upadkiem wyzwoli ziarna myśli nowej?

— Znowu godzisz w siebie, Samobie, widzę, że myśli zabić nie można, ale łatwo ginie ona od samobójstwa. Więc nic stałego?

— Samob pobity, zawołał ktoś w tłumie, niech żyje Bosam!

— Są myśli, rzekł Samob, których nie zabije grzeszne do nich dotknięcie. Są one odrazu dojrzałe i niezmienne, jak tajemnica, za pełne i za piękne, ażeby urzeczywistnić się mogły. Nie posiędziesz ich, ani pochłoniesz, dlatego niema dla nich śmierci i nigdy nie będzie.

Pojedynek Wielkich zakończony. Trzykrotnie zagrzmiały trąby.

Janina Oryńżyna

REPORTAŻ „EPOKI"

EGZEKUCJA

W południe ogłoszono wyrok śmierci.

Skazaniec przyjął go z przerażeniem i coś tam bełkotał napół przytomny ze strachu.

Kiedy wieczorem nadeszła odpowiedź, że Prezydent nie skorzystał z prawa łaski, rozpoczęto budowę szubienicy. Budowano uważnie, wykorzystując doświadczenia ostatniej egzekucji.

Stracenie wyznaczono na godzinę pół do ósmej rano. O tym czasie szubienica była już prawie zupełnie gotowa.

Stoi w półsionku gmachu więziennego okazała, jak jakaś wielka ogrodowa huśtawka. Mocne słupy, kwadratowo ciosane, podparte z obu stron, siedzą w dylach, ułożonych na betonowej posadzce. Od dołu wiodą ku górze dwa drewniane schodki, na szeroką platformę, której środkowa część automatycznie zapada się w dół.

Jest jeszcze wcześnie. Pół godziny czasu do egzekucji. Schodzą się powoli policjanci, agenci i służba więzienna. Obchodzą rusztowanie szerokiem kołem w znacznej odległości i nic do siebie nie mówią.

Jest martwa cisza. Tylko pomocnik kata, mały, przysadzisty, wbija w lewy filar rusztowania wielki zardzewiały gwóźdź, okręca dokoła jego spłaszczonej główki sznur, a potem prowadzi go ku górze, przeciągając przez hak, wkręcony w poprzeczną belkę rusztowania.

U skazańca jest ksiądz.

Na dworze — piękna pogoda. Jasno, ciepło i spokojnie. Kilku strażników i policjantów, opartych o mury więzienia, wygrzewa się w słońcu. W gmachu więziennym uczepieni do krat więźniowie, wciskają w nie głowy, patrzą wdół.

Nagle jakieś poruszenie. Policja salutuje. To prokurator. Jest niespokojny i zdenerwowany. Mówią, że pierwszy raz bierze udział w egzekucji. Wchodzi do pokoju, przylegającego do miejsca kaźni, wciąga na płaszcz czarną togę z czerwonym żabotem i każe przyprowadzić skazańca.

U skazańca jest jeszcze ciągle ksiądz. Za chwilę dopiero będzie gotów. Tymczasem jeden za drugim wchodzą do pokoju policjanci, których urzędujący komisarz ustawia rzędem dokoła ścian.

W sąsiedniej ubikacji słychać jakiś ruch. Za rozchylonemi drzwiami czyjeś kroki. Idą!

Pierwszy wchodzi skazaniec. Za nim ksiądz, z tyłu straż więzienna. Sam skazaniec wygląda tak jakgdyby się dopiero przed chwilą przebudził i nie mógł się zorjentować, czego od niego chcą. Rozgląda się dokoła siebie nieprzytomnem spojrzeniem. W ustach papieros, który ssie mechanicznie, ciągle wyjmuje i wtyka, nie puszczając nawet dymu.

Prokurator odczytuje mu depeszę z kancelarji Prezydenta, a potem wyrok. Długo wylicza i wymienia paragrafy i artykuły kodeksu, podając daty ustaw, numery dzienników, w których zostały ogłoszone i tytuły pod jakiemi figurują.

Skazaniec przysłuchuje się temu wszystkiemu z miną człowieka, który słucha dźwięków jakiejś zupełnie obcej mu mowy. Dopiero na zapytanie, czy ma coś jeszcze do powiedzenia, ożywia się i wyrzuca z siebie z determinacją:

— To, panie prokuratorze, wszystko z bidy i nędzy.

Potem jeszcze coś wygaduje bez związku, o zamordowanych, o sprawiedliwości niebieskiej, o świadkach — ale prokurator daje znak, żeby go wyprowadzić.

Pod szubienicą każe sobie dać papierosa. Jakiś policjant podsuwa mu zapalniczkę. Odmawia gestem i szuka zapałek w kieszeni. Wyjmuje pudełko, zapala drgającą, jak we febrze, ręką papierosa, potem zamyka pudełko skrupulatnie i trzęsąc się na całem ciele, chowa zpowrotem do kieszeni.

Z boku przeciska się ku rusztowaniu kat. Niski, z bladą twarzą i zadartym noskiem, oparł się o szubienicę i czeka, aż skazańcowi zwiążą złożone do tyłu ręce i założą opaskę na oczy.

Gotowe.

Podsadzają go, zataczającego się po stopniach, do góry i oddają w ręce kata.

— Panie delegacie — mówi przed siebie zdławionym głosem prokurator — proszę spełnić obowiązek.

Skazaniec krzyknął:

— Dowidzenia dla wszystkich! Spotkamy się...

Przerywa mu jakiś trzask. To automatyczna platforma spadła wdół. Razem z nią nogi skazańca. Rzucił się w bok, skręcił, skurczył nogi i opadł ciałem kołyszącem się jak wahadło zegara.

Wszyscy odwracają głowy. Prokurator wychodzi na sąsiednie podwórze i zawzięcie wpatruje się w kamienie. Pochylony ku ziemi naczelnik więzienia skubie nerwowo paznokcie. Policjanci oglądają w milczeniu końce swoich butów.

Czekamy.

Należy teraz czekać dwadzieścia minut. Tak długo ma, w myśl przepisów, pozostawać ciało na szubienicy.

Minuty wloką się powoli, jak agonja. Lekarz więzienny stoi zaaferowany z zegarkiem w ręku i śledzi ruch swego sekundnika.

Jest już nareszcie dziesięć minut. Ktoś mierzy tętno i mówi, że jeszcze ciągle czynne. Jakiś policjant zwraca się szeptem do swego kolegi:

— Jakby go tak teraz odciął, toby go docucił.

Pozatem jest taka cisza, jakgdyby życie skamieniało dokoła.

Tylko że te minuty wloką się tak powoli. Jest ich jeszcze cztery... potem tylko trzy... dwie.

Wreszcie upłynęło dwadzieścia minut.

Lekarz stwierdza śmierć.

Dwóch więźniów wnosi pod szubienicę wielką drewnianą pakę.

Obejmują trupa wpół i wsadzają do trumny.

Prokurator odwraca się ku rusztowaniu, wypina pierś i woła głośno ku obecnym:

— Czynność urzędowa skończona.

Józef Loos

Z SALONU CZESŁAWA GARLIŃSKIEGO.

Dla miłośników grafiki prawdziwą rewelacją będzie cykl włoskich akwafort Adama Herszafta. Cykl ten obejrzeć można w Salonie sztuki Cz. Garlińskiego. Oto rzeczy najszlachetniejszego gatunku sztuki czarno-białej. Zdawałoby się, że po niedoścignionych akwafortach weneckich Whistlera nic więcej nie da się z Wenecji wydobyć. Ćwierć wieku po śmierci genjalnego mistrza pokazuje nam Herszaft Wenecję w zupełnie nowem oświetleniu, wyczarowując z niej nowe tony. Cetara, zakątek pod Neapolem, wydaje nam się tworem bogatej wyobraźni artysty, a przecież ten cudowny zakątek w rzeczywistości istnieje opodal Wezuwjusza. „Wiosna sycylijska", jako staloryt, jest chyba unikatem w nowoczesnej grafice europejskiej. Podziwiamy tu mistrzowską technikę, lekkość i zadziwiającą pewność dotknięcia rylca. Barwy zastąpione zostały na tych planszach, przez soczystość plam, tonacji i nieskazitelną czystość linji. Pisał kiedyś prof. H. Singer, autor znanej monografji „Moderne Graphik", że rzadko który artysta posiada tak sugestywną potęgę linji, co Hersztaft. To właśnie stawia go w rzędzie mistrzów tej rangi, co Brangwym, Zorn, a u nas — Pankiewicz. Na polu grafiki polskiej, rozwijającej się tak wspaniale, dorobek Adama Herszafta, zajmuje miejsce bardzo wybitne. *J. M.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pan J. B. we Lwowie. Nie możemy zamieścić.

Pani Zofja K. w Toruniu. Skorzystamy z tego materjału.

Panu Janowi W. w Łodzi. W 46-tym numerze „Epoki".

Panu Tadeuszowi Z. w Bydgoszczy. Prosimy o nadesłanie tych rzeczy. Musimy najpierw przeczytać.

„PRZEGLĄD TELETECHNICZNY"

Z pośród wydawnictw, które uroczyście czczą 15-lecie Odrodzenia Państwa wyróżnia się okazale wydany zeszyt 11 *Przeglądu Teletechnicznego*, miesięcznika poświęconego teletechnice polskiej.

Kilkuarkuszowy zeszyt przynosi oświadczenie redakcji, w którem czytamy. „Na naszym odcinku pracy w służbie teletechnicznej przypada jednocześnie druga radosna rocznica — dwudziestolecia powstania zaczątków telekomunikacji polskiej, gdyż w r. 1913 utworzony został w Krakowie w organizacji „Strzelca" pierwszy oddział służby łączności, który stał się następnie oddziałem telefonicznym I brygady Legjonów".

Numer zawiera 23 artykuły bogato ilustrowane i odtwarzające jakby całokształt działalności i rozwoju służby teletechnicznej. Nazwiska autorów obejmują długą listę wytrawnych i zasłużonych współpracowników.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Tomasz Mann: Historje Jakóbowe. Powieść. Przekład Marcelego Tarnowskiego. Wydawnictwo M. Fruchtmana. Warszawa, 1933.

Antoni de Saint Exupery: Nocny lot. Przedmowa A. Gide'a. Przekład M. Czapskiej i St. Stempowskiego.

Władysław Mickiewicz: Pamiętniki. Tom III. 1870 — 1925. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1933.

Jo van Ammers-Kuller: Kobiety z rodu Coornveltów. Powieść. Przekład R. Centnerszwerowej. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień". Warszawa, 1933.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in:

Boy-Żeleński, dr. Feliks Burdecki, Emil Breiter, Piotr Dunin-Borkowski, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Jadwiga Krawczyńska, Irena Krzywicka, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, prof. Stanisław Małachowski-Łempicki, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski, Kazimiera Muszałówna, Zofja Nałkowska, dr. Eugenja Pragierowa, Wacław Rogowicz, N. Samotyhowa, Jerzy Stempowski, Andrzej Strug, Janina Strzelecka, Elżbieta Szemplińska, dr. Mieczysław Szerer, Józef Szpecht, Leon Wasilewski, Józef Wasowski, Jan Waśniewski, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Józef Wittlin, — — — Roman Zrębowicz. — — —

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z..698 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.